



Tydzień z życia  
Weroniki

*opowiadanie*

BOGUMIŁA KEMPIŃSKA-MIROSŁAWSKA

# Tydzień z życia Weroniki

*opowiadanie*



## **Dzień pierwszy: czwartek**

Weronika zwykle jeździ autobusem, ale tego dnia wracała ze spotkania tramwajem. Nie żeby lubiła jeździć tramwajami, ale dało to jej kilka dodatkowych wspólnie spędzonych chwil. Gdy tak szli razem do przystanku, wiał zimny wiatr, a Weronika była dość cienko ubrana. Tylko czy to było istotne? Nie. Ważne było, że szli razem. Prawie tak jak kiedyś. Prawie, bo teraz myślała o tym, aby zachować między nimi bezpieczną odległość – tak, aby nie czuć ciepła jego ciała. Czy pamięta jeszcze to ciepło? Woli o tym nie myśleć. Nie wolno jej o tym myśleć.

Rozmawiali. Uśmiechnęła się do siebie, gdy pomyślała, że gdy tak sobie rozmawiają o książkach, o dzieciach, to niby tak zwyczajnie, jak dobrzy znajomi, ale ona wyczuwała to dziwne napięcie. I on chyba też to czuł. Ale o tym nie rozmawiali. Może to i lepiej. Po co żałować później słów.

Do domu powinna jechać „15” i gdy dochodzili do przystanku, to właśnie się pojawiła. I nawet mogła do niej wsiąść, zdążyłaby, wystarczyło tylko trochę podbiec. Dobrze wiedziała, że oboje udawali, że nie zdąży. Szli coraz wolniej, aby tramwaj odjechał, w ten sposób zyskali kolejnych kilka minut. Kilka minut dla siebie.

Nie pamięta, co mówił do niej, ale pamięta ten gest. Lekko i delikatnie, trochę jakby zawstydzony, wyciągnął dłoń i poprawił jej szalik, chroniąc ją od wiatru. To takie miłe. I takie smutne. Smutne, bo nie mogła zrobić tego samego, wyciągnąć

dłoni i dotknąć jego ręki. Znowu ta sama lampka zapalająca się w głowie – nie wolno! Czasem Weronika czuje się przy nim, jakby jej ktoś obciął ręce. Wtedy też. Ale Weronika ma dłonie. Ma też twarz.

Kolejna „15” przyjechała jakby za szybko, ale cóż, nie było już pretekstu, aby stać tak dalej na przystanku. Weronika wsiadła. Uśmiechnęli się do siebie. Też prawie tak, jak kiedyś. Pomachała mu. Niedługo będzie w domu. Dom, teraz już sama nie wie, co to jest. Było, minęło. Nie chce o tym myśleć. Tylko czym zająć myśli? Już wie, zaplanuje co będzie robić z pozostałym wieczorem. Sprawdzi synowi lekcje, obejrzy wiadomości, poczyta, obejrzy jakiś film. I pójdzie spać. Jutro znowu będzie dzień.

Syn powitał ją z radością, przytulając się mocno do jej ciała. Patrzyła na jego czuprynkę niesfornych jasnych włosów i niebieskie oczy. Małe, kochane ciepłko. Do niego może przytulać się do woli. Jego może kochać. Ale wie, że to jej nie wystarczy. Syn nie wypełni jej całego świata. Tak jak ona, matka, nie wypełni całego świata swojemu synowi. Weronika wie, że potrzebuje spełnienia. I wie, że czas to jej największy wróg. Jeszcze rok, dwa, i ... nie, woli o tym nie myśleć.

Spać. Tak, Weronika lubi spać. Zawsze lubiła. Nocą ma drugie życie. A tak naprawdę to wiele różnych żyć. Ale zanim pójdzie spać, Weronika jeszcze musi zrobić coś przed snem. Stanęła więc jak zwykle przed lustrem. Zawsze ta chwila napawa ją lękiem, dreszczem niepokoju, dreszczem

podniecenia. Wieczorny rytuał. Spojrzała w lustro. Podniosła dłonie do twarzy i powoli, w skupieniu zaczęła zdejmować maskę. Tak, aby niczego nie uszkodzić, maska musi jej przecież wystarczyć jeszcze na długo. Zresztą, ma taką nadzieję, że na długo. Zdjętą już maskę odłożyła na półkę, obok innych jej masek. Trochę się ich uzbierało, nawet sama się sobie dziwi, że aż tyle. Ale ta dzisiejsza była szczególna. No właśnie, bo dzisiaj był czwartek.

Spojrzała jeszcze raz w lustro. I przekonała się po raz kolejny, że ma twarz.

## **Dzień drugi: piątek**

Od trzech tygodni Weronika odbywa staż na psychiatrii. I dzisiaj właśnie był kolejny dzień stażu. Rano odprawa, omówienie nowych pacjentów. Potem obchód, standardowe pytania zadawane pacjentom – jak się pan dzisiaj czuje, w jakim pani jest nastroju, czy dobrze pani spała, czy nadal słyszy pan te głosy, czy nadal ma pani niepokój. Przebywając tam, na oddziale, Weronika nie może oprzeć się wrażeniu, że wciąż ogląd ten sam film, każdego dnia, tylko że bez zakończenia.

Poprzednie doświadczenia z psychiatrią nie były dla niej budujące. Było to na studiach z psychologii, trzy tygodnie zajęć i kontaktów ze schizofrenią, depresją, urojeniami. Po trzech dniach zaczęła sama odczuwać niepokój. Po kolejnych dwóch już nie była pewna, czy te myśli, które ma gdzieś w głowie, to są jej myśli. Wracała po zajęciach i kładła się do łóżka, na wznak, aby mogła patrzeć na sufit. Dlaczego na sufit, tego już teraz nie pamięta. Najgorsze były noce. Jako młoda mężatka – kiedyś by powiedzieli – miała obowiązki wobec męża. Ale Weronika nie chciała „tego” z obowiązku. A wtedy w ogóle nie chciała. Tyle przecież nieszczęścia w ludzkich głowach się mieści, a ona, co? Ciało i zmysły będzie karmić? Dobrze, że te zajęcia nie trwały wtedy dłużej, bo pewnie jej małżeństwo trwałoby krócej. A może szkoda? Teraz może sobie spokojnie chodzić na tę psychiatrię i żaden jej związek nie zostanie zagrożony. Żaden, bo żadnego związku nie ma.

Wracając do domu pomyślała sobie, że jeszcze tylko kilka dni do sądu..., sądu ostatecznego dla jej małżeństwa. I nowe życie. Tak właśnie stara się myśleć, nowe życie. Inne życie. Nadal jednak nie wie czego jej tak naprawdę brakuje. Wie, że nie tęskni za mężem. Tamtą maskę już wyrzuciła. Ale Weronika potrzebuje nowej maski. I woli nie patrzeć ludziom w oczy, nie chce, żeby wiedzieli jak bardzo potrzebuje. A w jej oczach wszystko widać – pragnienia, emocje – a na szkła kontaktowe się nie zdecydowała. Jeszcze nie. Może za rok, dwa. Ale nie teraz.



### **Dzień trzeci: sobota**

Obudziła się z niepokojącą myślą, że... myśli. Myśli o nim. I myśli, czy on myśli o niej, o Weronice. Pogoda była tego ranka piękna. I była sobota. Cóż począć z tak rozpoczętym dniem? Gdy piła poranną kawę zaczęła być na siebie zła. Za te myśli, o nim. Czy zadzwoni? Pewnie nie, nie ma powodu, aby dzwonił. Chociaż, kiedyś zadzwonił, w sobotę, i ku jej zaskoczeniu wybrali się razem do parku. Nie sami, z dziećmi, ale razem. To było dziwne spotkanie. Wiosna, a jakby jesień. Nie sami, a jakby sami byli. Tyle lat minęło, a jakby czas się zatrzymał. Inny, a jakby ten sam. Wtedy też miała natrętne myśli o tej bezpiecznej odległości między nimi. Nie za blisko. Tak, jakby nigdy nic, znajomi. I tak chodzili wokół swoich dzieci, dzieci chodziły wokół siebie, zrobili kilka zdjęć. Ale gdy podała mu do ust mandarynkę, już sama nie wie, co poczuła. Nie wolno jej czuć. Ale wiedziała, że tej soboty on nie zadzwoni.

Wybrała się z koleżankami do sklepu, co zajęło kilka ładnych godzin. To takie dziwne, ludzie chodzą, oglądają, wkładają coś do koszyka, płacą. A resztki wyrzucają do kosza. I znowu idą na zakupy. I nie wiedzą, że kupują niespełnione marzenia, niezaspokojone zmysły. A Weronice pozostało całe sobotnie popołudnie.

Tego dnia czuła się jak w klatce. Kuchnia, pokój, łazienka, kuchnia, przedpokój, drugi pokój, balkon. Książka, komputer, telewizor, książka. I sama się sobie dziwiła, jak kiedyś mogła siedzieć każdą sobotę w domu i nawet jej przez myśl nie

przeszło, że można ją spędzić inaczej. Czy aż tak bardzo się zmieniała w ciągu tych trzech miesięcy? Każdego dnia próbuje ułożyć sobie, czego tak naprawdę chce. Tego dnia też zaczęła o tym myśleć. Czego chce teraz? W tej chwili? I gdy wreszcie uświadomiła sobie tę myśl, uświadomiła sobie to pragnienie, to aż spojrzała w lustro. Nie, to nie możliwe, aby mogła tego chcieć. To takie straszne, takie tragiczne. Ale oczy potwierdzały, że tego chce. Teraz, natychmiast. Dzisiaj, jutro i zawsze. Dotknęła ręką do twarzy, aby sprawdzić, czy to aby jej odbicie. To była ona. I usłyszała swój własny głos – „tak, ja chcę kochać”.

Była tak zaskoczona tym odkryciem, że pobiegła czym prędzej do łazienki. Spojrzała na półkę – nie ma. Na podłodze – nie ma. W szufladzie – nie ma. W sypialni – nie ma. Nie ma, nigdzie nie ma – po prostu ona nie ma tej maski! Zapomniała o tej masce, a może gdzieś zgubiła. A może jej nie miała. A może sprzedała. Już nawet nie pamięta. A sklepów z maskami nie ma. Musi ją zrobić sama. Tylko z czego się robi maskę miłości? Nie pamięta, a przepis zgubiła.

W nocy śnił jej się znowu ten sam dom i ta sama droga.

## **Dzień czwarty: niedziela**

Cieszyła się na myśl o dzisiejszym dniu. Po pierwsze dlatego, że będzie miała mało czasu na myślenie i czucie. Marcin, jej brat cioteczny, przyjechał po Weronikę i jej syna przed jedenastą. Nie była jeszcze naszykowana, ale zajęło jej to kilka minut. Trochę niepokoił ją fakt, że będzie musiała się spotkać z dawno nie widzianą częścią rodziny, ale kilka kieliszków wina powinno wystarczyć, aby niepokój minął. Na dzisiejszy dzień przygotowała sobie maskę numer trzy. Tak, ta powinna być odpowiednia – lekki uśmiech, nieco humoru, samopoczucie dobre, myśli schowane, uczucia zamknięte. Jest dobrze. Pojechali.

Jak zwykle przywitała się z cicią i wujem nad wyraz radośnie. Pewna siebie usiadła na swoim stałym miejscu – krześle z oparciem pod rękę, pamiętającym czasy młodości jej mamy. A miejsce było strategiczne – u szczytu stołu, tak, że widziała cały pokój i twarze wszystkich siedzących. Pomyślała, ciekawe, czy też mają swoje maski? Reszta rodziny przyjechała po jakiejś godzinie lub, przeliczając to na lampki wina, po trzech lampkach. Całuski, misie, tradycyjne powitania – nie cierpi tego, ale maska to maska. I tradycyjne pytania – co słyhać? I wciąż ta sama odpowiedź – wszystko dobrze, albo wszystko po staremu – tego też nie cierpi – ale przecież nie powie im, że mimo swoich trzydziestu kilku lat czuje się na dziewiętnaście i ma ochotę iść na dyskotekę i poderwać jakiegoś chłopaka – bo chyba już by nie wstali od stołu.

Na szczęście tę kurtuazyjną wymianę zdań przerwała zupa i wszystkich połączyła w gorącym uścisku – każdy zajął się swoją łyżką i swoim talerzem. Po drugim daniu i kolejnych trzech lampkach wina Weronika nawet wciągnęła się w te rozmowy. I tak upłynął kolejny dzień.

W domu była pod wieczór. Usiadła przy stole w kuchni. Wino chyba zrobiło swoje. Ale umysł był przedziwnie czysty, myśli składne, tylko ciało dało o sobie znać. Dlaczego akurat dzisiaj się odezwało? – pomyślała Weronika ze złością – a co robiło przez dziesięć ostatnich lat i co ja z nim zrobię teraz? Nagle jej dłonie poczuły się jakby wolne i rozpoczęły pierwszą od lat wędrówkę – twarz, szyja, ramiona, brzuch. Trochę były spłoszone, bo jak to tak, bez kontroli, samotnie, a pod palcami tyle wrażeń – szorstki dotyk jej swetra, trochę chłodu czarnej spódnicy, miękkość skóry jej ciała. Ciepło, drżenie, lęk i chęć – a wino było czerwone. Usiadła na podłodze i oparła się o ścianę – tak, jak siadała kiedyś, z przyciągniętymi do piersi nogami. Objęła się swoimi ramionami i poczuła nagle jakby ból. Nigdy nie myślała, że pustka może być tak twarda – a w jej objęciach była pustka, samo powietrze. Nie chciała myśleć o tym – kto, nie chciała myśleć – kogo, ale dłonie, takie dzisiaj wyzwolone, same sięgnęły po tę myśl – chciała, aby był tu on. Zamiast tej pustki. Może znowu poprawiłby jej szalik i zastonił od wiatru?

Przeraziła ją ta myśl. Wiedziała przecież, że to nie jest możliwe. Ani teraz, ani za kilka dni, ani w żaden kolejny czwartek. Ale dlaczego nie może chociaż tego czuć?!

I uświadomiła sobie, że chce czuć to, co czuje, chce pragnąć tego, czego pragnie, nawet jeśli musiałaby pokazać swoją twarz, twarz bez maski. Zaczyna przecież nowe życie i nie będzie szukać straconego czasu. Ale ten czas, co jeszcze ma, wyjmie z zakurzonej szafy pełnej starych masek. Bo to jej czas.

## **Dzień piąty: poniedziałek**

Dzień przed. Już tylko krok dzieli Weronikę od skoku na głębię. Nie boi się nawet. Bo dzisiaj czuje się jak wydmuszka. Taka wielkanocna, ładnie przybrana i pomalowana, ale w środku pusta. I szła tak, w ten poniedziałek Piotrkowską, w samo południe, taka nadmuchana i lekka, makijaż, strój, wszystko tak, jak trzeba. Ale chwilami myślała, że się nie utrzyma, że zaraz jej skorupka – tak cienka i delikatna – zacznie pękać i wtedy i co? Nic! Pustka.

Nogi były jakby nie jej, ale zaniósł ją do firmy. Współpracownicy spojrzeli na nią i zapadła cisza. A może zobaczyli tę pustkę, mimo całej jeszcze skorupki? Głos, który wydobyła z siebie, też był jakby głuchy, płaski. Załatwiła kilka najbardziej pilnych spraw i wiedziała, że musi stamtąd wyjść. Do domu. Do swojego bezpiecznego miejsca, do swojego pokoju. Bo Weronika ma takie miejsce w domu – od trzech miesięcy – swoją przystań, taki matczyzny, ciepły brzuch – to miejsce, to jej miękka kanapa w malutkim pokoju na końcu całego, dużego domu. Siada w swoim rogu tej kanapy, stawia na parapecie okna filiżankę czarnej kawy lub lampkę wina, bierze książkę i zatapia się z tę bezpieczeńścią, w tę rozkosz spokojności, w to nowe jestestwo.

Teraz też chciała być jak najszybciej w tym miejscu. Po drodze poszła po syna do szkoły. I sama nie wie dlaczego nagle jej oczy zrobiły się pełne łez, tutaj gwar dzieci, a ona płacze. Syn od razu zobaczył jej smutek i z niepokojem zapytał – co się stało

mamo? Wiedziała, że mu powie. Chciała mu powiedzieć, aby rozumiał. I powiedziała – gdy tak wracali przez plac – „czuję się taka sama”. A syn spojrział na nią i powiedział – „mamo, nie jesteś sama, bo nawet jak mnie nie ma przy tobie, to jest z tobą Bóg”.

I pękła jej ta skorupka, ale nie było już tej pustki. Boże – pomyślała – Ty jeden wiesz kim jestem, przed tobą stoję z odkrytą twarzą. Tylko, czy wybrałam tę drogę, którą mi przeznaczyłeś? Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć. A jedna brama była już zamknięta.

## **Dzień szósty: wtorek**

Nie mogła dzisiaj spać w nocy, a noc była taka długa. Budziła się co kilka chwil i wydawało się Weronice, że rano nigdy nie nadejdzie. Ale nadszedł. Wstała, ubrała się, umalowała. Wyglądała ładnie. W sądzie była przed czasem. Najgorsze jest zawsze czekanie. Siedziała z ciocią, która miała być świadkiem na jej sprawie. Ciocia coś mówiła, ale Weronikę bardziej interesowało to, co działo się dookoła. Wokoło dużo różnych ludzi, różnych spraw, życiowych dramatów, konfliktów. Przez chwilę poczuła się jak na cmentarzu. Podczas pogrzebu. Nigdy nie lubiła pogrzebów. Ale teraz musiała na nim być – na pogrzebie swojego małżeństwa. Nie czuła smutku z powodu tej śmierci, czuła żal z powodu narodzin, że w ogóle kiedyś powiedziała „tak”. Że właśnie wtedy, że jemu, swojemu jeszcze mężowi. I teraz nawet nie wie dlaczego. Pewnie z miłości. Ale teraz nie pamięta, czy w ogóle go kochała. To nie ważne.

Zaczęło się. Najpierw przesłuchanie świadka – jak rozstanie małżonków wpłynęło na syna, czy ojciec utrzymuje kontakty z dzieckiem, jak czuje się dziecko. Później zeznawała Weronika. Że od kilku lat nie żyją ze sobą, że coś umarło, że dłużej nie ma sensu. A później zeznawał jej mąż. Krótco – tak, nie. Jak zwykle. Cały on – hermetyczny. Ale to już też nie ważne. Zeznania zgodne. Podział majątku zgodny. Nie powinno być problemu z rozstaniem. Koniec. Ostatni raz byli tak zgodni, gdy brali ślub. Początek i koniec. Śmierć i życie. Nowe życie.



Wyszła z sądu z uczuciem ulgi. I rozumiała, że przeszłość przestała być dla niej problemem. I nagle zapragnęła z kimś na ten temat porozmawiać, z kimś bliskim. Ale z kim? Z mamą? Nie, z mamą nie była blisko. Nie lubi jej nic opowiadać. Kaśka, jej przyjaciółka, pewnie w pracy. Nie wypada przeszkadzać. Ale zadzwoni do niej wieczorem. Weronika jest zadowolona, że znowu się odnalazły. Mają teraz nawet więcej wspólnego, niż przedtem.

Do kogo zadzwonić? A może do niego? Ma przecież do niego telefon, do pracy. Ale nie chce, aby pomyślał, że mu się narzuca, że coś chce. Bo przecież nie może nic od niego chcieć. Nie wolno jej. Dzieli ich cała wolność. Jej wolność, a jego związanie. A jednak zadzwoni. Może się nawet ucieszy?

Rozmowa trwała kilka minut. Tak, na początek, zaczęła od szkolenia z psychologii biznesu jako pretekstu. Ale później powiedziała mu o tej wydmuszce, którą była wczoraj i o sądzie, w którym była dzisiaj. I o smutku. I już sama nie wie o czym. I upewniła się, że spotkają się w czwartek.

Chciała odczytać z jego głosu, co on czuje. Ale nadal nie wie. Może nic, a może coś. On też taki trochę zamknięty, a Weronika ma już dość zamkniętych w sobie mężczyzn. Ale przecież on nie jest jej mężczyzną, więc może sobie taki być. Choć wołałaby, aby nie tylko patrzył na nią, ale i mówił. I zastanowiła się, ile on ma masek na swojej półce. I jaką wkłada na czwartkowe spotkania – numer trzy albo cztery, a może numer jeden? Kiedyś zerwie z niego tę maskę. I zobaczy jego

prawdziwą twarz. I dotknie swoją dłońią jego ust i oczu, i policzków. Poczucie miękkość włosów, zapach skóry, ciepło. Nawet gdyby potem miało by to być ich ostatnie spotkanie. Zerwanie maski to niczym gwałt, ale zobaczy jego twarz i pokaże mu swoją.

Weronika wie, że tu i teraz to jej czas. I druga brama już zamknięta.

**Dzień siódmy: środa**

Po stworzeniu świata siódmego dnia Bóg wziął sobie wolne. Na stworzenie kobiety mężczyzna musiał jeszcze poczekać.

Tego dnia Weronika odwołała czwartkowe spotkanie. Nie była gotowa na zdjęcie maski i zobaczenie swojej i jego prawdziwych twarzy.

- K O N I E C -

**Bogumiła Kempieńska-Mirostawska**

[www.opowiesciwedrowne.pl](http://www.opowiesciwedrowne.pl)

**Książki:**

TO TYLKO CHWILE

<https://opowiesciwedrowne.pl/to-tylko-chwile/>

CHIMERA

<https://opowiesciwedrowne.pl/chimera-opowiadania-w-ktorych-nic-nie-jest-tym-czym-sie-wydaje/>

PRZEMIANY

<https://opowiesciwedrowne.pl/przemiany/>

ŻYCIE NIEDOKOŃCZONE

<https://opowiesciwedrowne.pl/zycie-niedokonczone-poezja-zbyt-prawdziwa/>

**Różne teksty literackie:**

[TU GDZIE ŚPIĄ ZEGARY](#)